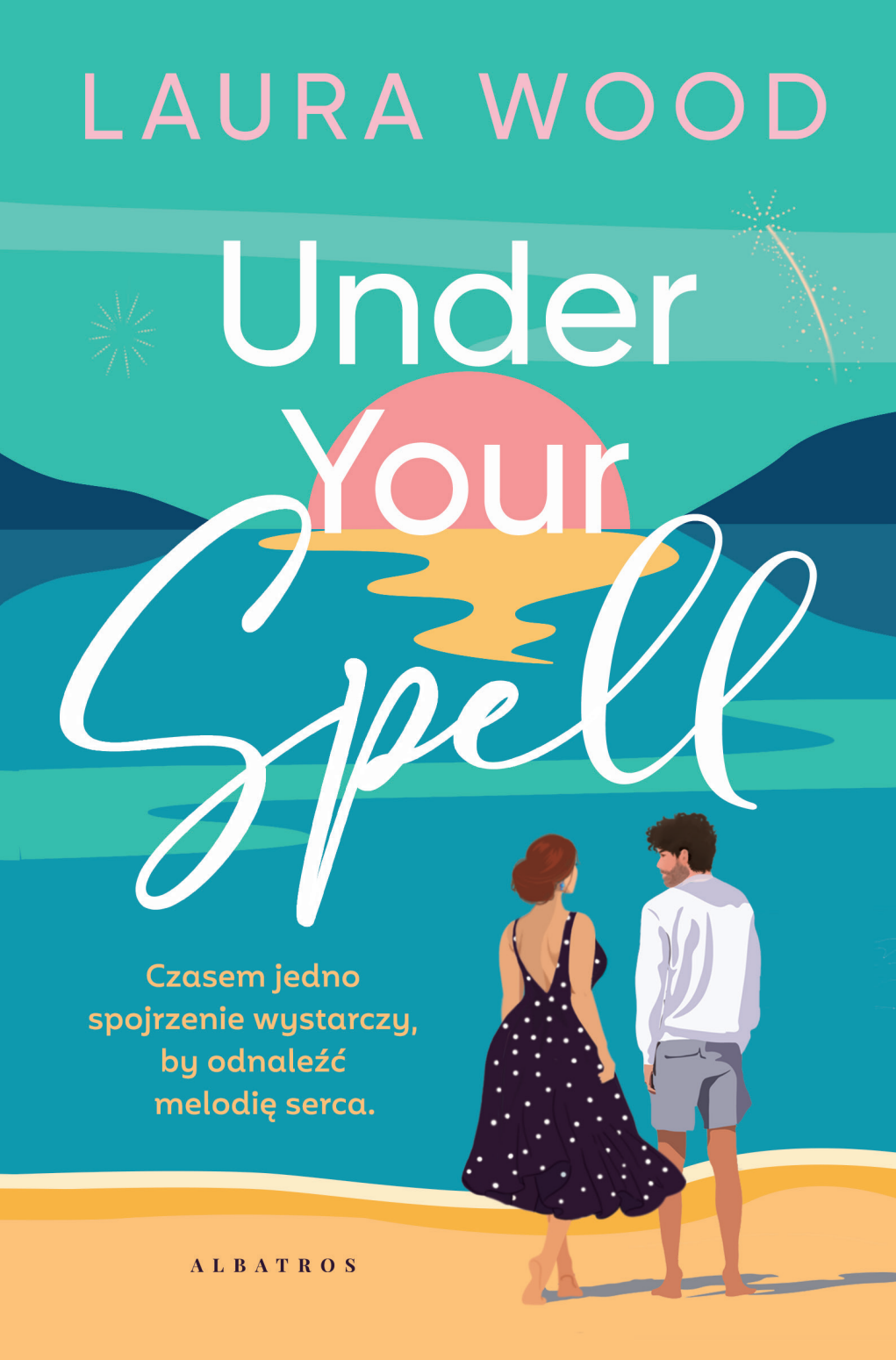


LAURA WOOD

Under Your Spell



Czasem jedno
spojrzenie wystarczy,
by odnaleźć
melodię serca.

ALBATROS

Tytuł oryginału:
UNDER YOUR SPELL

Copyright © Laura Wood 2024
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Małgorzata Stefaniuk 2025

Redakcja: Ida Świerkocka

Projekt graficzny okładki: buerosued.de

Opracowanie graficzne wydania polskiego:
Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



Rozdział pierwszy

Oto migawka z życia, które obecnie prowadzę: moja siostra stoi na progu mojego mieszkania, trzymając martwego ptaka, a to nawet nie jest najgorsza rzecz, jaka się dzisiaj wydarzyła.

– Clemmie. – Oczy Lil wypełniają się łzami, a jej czarny eyeliner zaczyna się alarmująco rozmazywać, gdy podnosi kłębek obłoconych piór. – Wleciał mi prosto w samochód... Myślisz, że z tego wyjdzie?

Spoglądam na ptaka – ewidentnie bardzo martwego.

– No nie wiem, raczej wątpię... – Chcę być delikatna, ale pudłuję o cały kilometr. Jak powiedziałam: to był długi dzień.

– Na miłość boską, Lil! – Nasza siostra Serena pojawia się u mojego boku, pociągając szampana z butelki, którą ze sobą przyniosła. – Co ty robisz z tym czymś? Fúj, to obrzydliwe!

Lil łapie na nią gniewnie.

– Próbuję ratować mu życie. Myślicie, że można zrobić ptakowi sztuczne oddychanie? Takie usta-usta?

– Raczej usta-dziób – zauważam po chwili namysłu, podczas gdy Serena głośno udaje odruch wymiotny.

– No przecież go tu tak nie zostawię, żeby umarł! – lamentuje Lil, ale ja stanowczo tarasuję sobą drzwi, bo wiem, że jeśli dam

jej choćby ułamek szansy, martwy ptak bez dwóch zdań wylądował w moim mieszkaniu.

– Myślę, że ten statek już odpłynął – stwierdza Serena, celując w ptaka idealnie wypięłgnowanym palcem. – To raczej pewne, że to coś nie powinno być takie splaszczone pośrodku.

Lil spogląda w dół.

– Och – wzdycha w końcu. – To straszne.

– Tak, niestety, ale teraz może odłóż już tego ptaka i wejdź – proponuję.

– Mam go tu tak po prostu zostawić? – Lil jest przerażona.

Widzę, dokąd to zmierza, jestem jednak zbyt wykończona, żeby organizować ptasi pogrzeb. Rzucam zdesperowane spojrzenie na Serenę, a ona w odpowiedzi przewraca oczami.

– To może wrzucić go do kosza – sugeruje.

– Do kosza? – Głos Lil podnosi się o oktawę.

– No do tego na kompost – pośpiesznie doprecyzowuje Serena. – Clemmie ma chyba z szesnaście różnych koszy, prawda? – Spogląda na mnie.

– Tak, tak, jest tam taki jeden na odpady z ogrodu – potwierdzam ze wzruszeniem ramion, choć „ogród” to chyba za duże słowo jak na tę kępkę trawy, którą wynajęłam razem z mieszkaniem. Zawsze miałam zamiar posadzić tam jakieś cebulki. Wyobrażałam sobie siebie, jak spaceruję z wiklinowym koszem i skromnie się uśmiecham, gdy ludzie chwalą moją rękę do roślin, ale nigdy nie było na to czasu. A teraz to już właściwie bez znaczenia.

– O, widzisz. – Serena zarzuca włosy na plecy. – Idealnie. Możesz zwrócić go ziemi. – Serena jest mistrzynią w nakłanianiu ludzi do robienia tego, czego ona chce. Teraz celowo dostraja się do klimatów Lil, przybierając przekonujący ton.

Lil się waha.

– To nie wydaje się zbyt godne...

– To natura, Lil. – Serena macha ręką. – Wiesz, „martwa od kłów i pazurów...”*.

– „Czerwona od kłów i pazurów” – poprawiam. – Poza tym nie sądzę, żeby zderzenie z toyotą yaris prowadzoną przez drobną kobietę w ogromnym różowym płaszczu było tym poetyckim aktem brutalności, o którym pisał Tennyson.

– Nieważne – zbywa mnie Serena, coraz bardziej się rozkręcając. – Krew, śmierć... wszystko to jest częścią cyklu, czyż nie? Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz... To krąg życia... napędza nas wszystkich.

Jestem prawie pewna, że zaraz zaczniesz śpiewać podniosłe piosenkę z *Króla Lwa*, co w moim odczuciu mogłoby osłabić wrażenie, że traktuje sytuację tak poważnie, jak Lil by sobie tego życzyła, szybko więc wkraczam do akcji.

– No już, Lil, chodźmy, bo zimno tu jak w lodówce, a w środku czeka pizza. Twoja ulubiona, wegańska. I wino. Dużo, dużo wina.

– Hm, no dobrze. – Lil niechętnie kiwa głową. – Ale myślę, że najpierw powinnam powiedzieć kilka słów.

– To mów, byle szybko – poganiam ją Serena. – Clemmie bardziej nas potrzebuje niż ten martwy ptak. Dla niej wciąż jeszcze może być jakaś nadzieja.

– Czy to naprawdę konieczne? – burczę.

Serena nie odpowiada, tylko unosząc brwi, pije kolejny łyk z butelki, niemniej jej przekaz jest jasny: moje życie to w zasadzie jeden wielki martwy ptak i w sumie trudno się z tym nie zgodzić.

Pięć minut później stoimy wokół kosza na odpady ogrodowe.

– Oto miejsce wiecznego spoczynku Petera, gołębia – intonuje Lil.

*Nawiązanie do fragmentu wiersza *In Memoriam A.H.H.* Alfreda Tennysona.

Nie jestem do końca przekonana, czy ptak leżący w moim koszu to gołąb, ale moment nie wydaje się odpowiedni na spory o semantykę.

– Nie wiemy dokładnie, jak długo żyłeś – kontynuuje Lil – ale byłeś częścią tego wielkiego i pięknego świata i to smutne, że już cię z nami nie ma. Mam nadzieję, że gdziekolwiek jesteś, czujesz ciepło słońca na grzbiecie i chłód powietrza pod skrzydłami. Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwy i wolny.

Niespodziewanie czuję, jak pod powiekami zbierają mi się łzy, co zresztą usilnie staram się ukryć przed Sereną.

– O Chryste, ale wy jesteście żalosne – prychna ona, choć słysząc także w jej głosie nuty powstrzymywanego wzruszenia. – A teraz czy możemy już iść? Chrzanić martwego ptaka, jest zimno jak cholera i zaraz umrę tu na hipotermię.

Z westchnieniem ulgi Lil zamyka pokrywę kosza, a ja wprowadzam je do mieszkania.

– A co tu się stało? – pyta Lil i rozgląda się po moim lokum, które, trzeba uczciwie przyznać, wygląda dość spartańsko.

Serena się krzywi.

– Leonard się stał – burczy.

– Zabrał wszystkie twoje rzeczy? – sapie Lil ze zdumieniem.

– Kanapę? Telewizor? I... gdzie są wszystkie rzeczy Tuńczyka? Gdzie Tuńczyk?

Ach tak. Kot. Lepiej za dużo o tym nie myśleć, bo znów zacznę płakać.

Lil mruga, przyswajając fakty.

– Zabrał twojego kota?

– Len twierdzi, że będzie mu lepiej w nowym miejscu – odpowiadam, starając się utrzymać lekki ton. – I ma rację. To prawdziwy dom i nie w pobliżu żadnych głównych dróg. To znacznie bezpieczniejsze.

– Zabrał ci kota! – powtarza Lil i tym razem w jej dużych, błękitnych oczach błyszczą iskry mordy. – Zostawił cię dla innej kobiety, wziął wszystkie twoje rzeczy i ukradł ci kota? Nienawidzę go.

Rozglądałam się po niemal pustym salonie z otwartą kuchnią, który jeszcze wczoraj był zawałony schludnie spakowanymi meblami z Ikei. Owszem, nie do końca były one w moim guście – te wszystkie czyste, nowoczesne linie i brak bibelotów to trochę bezduszne, no ale wyglądało to całkiem przyjemnie, tworzyło dom. A teraz, z pojedynczym fotelem, który kiedyś znalazłam na ulicy (Lenowi powiedziałam, że kupiłam go na targu staroci, inaczej nigdy by mnie z nim nie wpuścił za drzwi), rozpadającym się, tylko do połowy pełnym regałem na książki i lampą stołową w kształcie syreny trzymającej muszlę, bez stołu, na którym można by ją postawić, pomieszczenie przypomina ostatnie minuty wyprzedaży garażowej.

– To były jego rzeczy – mówię, po czym wzruszam ramionami. – On je wybrał, on za nie płacił. A ja chyba po prostu nie zdawałam sobie sprawy, ile z tego było jego, dopóki nie pojawili się ludzie od przeprowadzki i ich nie zabrali. – Co zrobili dzisiaj, kiedy byłam w pracy. Tej, którą wkrótce mam stracić. I na tę myśl ból głowy, z którym nieustannie walczę, nasila się jeszcze bardziej.

– Od zawsze wiedziałam, że ten cały Len jest do luzu – stwierdza Serena ponuro, sadowiąc się na blacie szafki kuchennej i otwierając pokrywkę gigantycznego pudełka z pizzą. – Mówiłam ci to od lat.

– Mówiłaś, że jest nudny – precyzuję. – Czego, jeśli być fair wobec niego, teraz już raczej nie możesz mu zarzucić.

Len i ja byliśmy ze sobą przez cztery lata, a dziesięć dni temu oznajmił, że nie tylko zostawia mnie dla Jenny, koleżanki z biura rachunkowego, ale również że spotykają się od półtora roku

i że ona jest w trzecim miesiącu ciąży. Len, Jenny, ich dziecko oraz mój kot przenoszą się do czteropokojowego domku na wsi w Oxfordshire, gdzie zabierają ze sobą wszystkie nasze meble. Wspaniałomyślnie Len zostawia mi mieszkanie w mieście, na które mnie nie stać. I wszystko to odbyło się niezwykle spokojnie.

Przed tym doświadczeniem zawsze miałam pewne wątpliwości co do ludzi, którzy rzekomo byli zaskakiwani takimi rewelacjami. Jak mogli nie zauważyć? Cóż, teraz mogę powiedzieć tyle: nie miałam pojęcia. Najmniejszego, nawet cień podejrzenia nie przemknął mi przez głowę.

Kiedy Len wyłożył mi te wszystkie fakty, stojąc z uroczystą miną przed naszym kominkiem, jakby był detektywem w kieszonkowej adaptacji powieści Agathy Christie, który właśnie zdradza, kto zabił, moja pierwsza myśl była taka, że to jakiś żart.

Nie trwało to jednak długo, bo Len nigdy nie miał szczególnego poczucia humoru, a poza tym, szczerze mówiąc, żadne z wypowiedzianych przez niego słów nie brzmiało jakoś bardzo zabawnie.

– Po prostu uważam, że od dawna jesteśmy ze sobą już tylko z przyzwyczajenia – tłumaczył, a jego słowa brzmiały jak wyuczone na pamięć. (Później dowiedziałam się, że to dlatego, że Jenny rzeczywiście mu to wszystko rozpisała, co – trzeba przyznać – było rozsądne, bo Len miał skłonność do mówienia niejasno, a dzięki jej zapobiegliwości nasze rozstanie było jak najbardziej klarowne). – Ty i ja za bardzo się różnimy. Co w zasadzie nie zaskakuje, biorąc pod uwagę twoje pochodzenie... – To w moim odczuciu było szczególnie bolesnym ciosem. – My się już nie kochamy, Clemmie. Po prostu przywykliśmy do bycia razem. Zobaczysz, to wszystko ostatecznie wyjdzie nam wszystkim na dobre.

W tym momencie gwałtownie zwymiotowałam do pustej puszkki po czekoladkach Quality Street, którą akurat trzymałam

w rękach.

Fakt, że w sumie miał rację, nie przynosił wiele pocieszenia. Tęskniłam nie tyle za nim, co za obecnością drugiej osoby, rutyną naszego życia, jego i mojego, które wydawały się tak mocno ze sobą splecione. Tęskniłam jednak za kotem. I za kanapą.

– Przyznaję, że początkowo skupiałam się głównie na tym, że jest skończonym nudziarzem – zastanawia się na głos Serena. – I pewnie przez to nie przyszło mi na myśl, że jego osobowość ma-małygi może maskować serce łajdaka. Ale teraz... teraz to widzę. – W jej głosie pobrzmiwają groźne nuty zapowiadające zemstę, a jej gniewne spojrzenie wywołuje ciarki na plecach. Sięga po kawałek pizzy i wgrzyza się w niego z przesadną agresją.

Lil wskakuje na blat kuchenny i zaczyna ściągać folię z kolejnej butelki szampana.

– No tak, Len faktycznie był okropnie nudny – stwierdza, wyciągając korek z butelki z dobrze wyćwiczonym pyknięciem. – Teraz już możesz też to przyznać.

– Nie, nie mogę – sprzeciwiam się. – Len nie był nudny, tylko stabilny i niezawodny. I to mi się w nim podobało.

– Jezu, Clem – wzdycha Serena z irytacją. – Był twoim chłopakiem, a nie volvo. Zasługiwałaś na o wiele więcej niż bezawaryjność. – Przed zadaniem ostatecznego ciosu robi dłuższą pauzę. – Poza tym wszyscy wiemy, że cała ta historia z Leonardem kręciła się wokół tego na „o”.

– Nie, to wcale nie tak – warczę, natychmiast wkurzona. – I nie waż się wypowiadać tego słowa na „o”.

– Tak, lepiej go nie wypowiadać, zgadzam się z Clemmie – oznajmia Lil, kiwając głową i ostrożnie nalewając szampana do trzech kubków, mimo że Serena nadal radośnie popija z prawie już pustej butelki. – Chociaż to w sumie wygląda, jakbyście mówiły o czymś niecenzuralnym, na przykład o fiutach.

– Faj. – Serena przyjmuje kubek z napisem *Księgowi są święt-
ni w arkusze i w te inne sprawy*, prezent ode mnie, z którym Len
najwyraźniej nie był tak emocjonalnie związany jak na przykład z
kieliszkami albo odkurzaczem. – Gdybym chciała mówić o peni-
sach – kontynuuję wyniosłym tonem – to po prostu bym o nich
mówiła. No ale dobrze... – Odchrząkuje i spogląda na mnie su-
rowo. – Clemmie, doskonale wiesz, że twój związek z Leonardem
tak naprawdę dotyczył ojca.

– Czyli fiuta... – mamrocze, pociągając długi łyk ze swojego
kubka. Szampan jest zimny, orzeźwiający, a bąbelki szybko roz-
chodzą się po moim krwiobiegu. Wiadomo, Serena zawsze kupu-
je tylko to, co najlepsze.

Wszystkie mamy własne relacje z naszym ojcem – w moim
przypadku można by to najlepiej opisać jako przelotną znajo-
mość, bo kiedy twoim ojcem jest starzejąca się gwiazda rocka,
która zdołała zapłodnić trzy kobiety w ciągu czterech miesięcy,
sprawy mają tendencję do komplikowania się.

– To prawda, że Len był raczej antyojcem – rozmyśla głośno
Lil. – Na świecie nie ma chyba nic mniej rockandrollowego niż
księgowy z Surrey.

– Bo ty akurat dużo wiesz o rock and rollu... – prychna
drwiąco Serena.

– Jestem muzyczką. – Lil butnie krzyżuje ręce na piersiach. –
Znam się na wszystkich rodzajach muzyki.

– Chyba tylko na tej, którą komponują kobiety wyglądające
jak wiktoriańskie duchy. – Serena parska złośliwym śmiechem,
Lil zaś z oburzenia opluwa się szampanem. Rzeczywiście wydaje
się, że pod gigantycznym różowym płaszczem ma na sobie coś, co
przypomina obszerną białą koszulę nocną.

– To masowo produkowane gówno, które wypuszczasz w
swojej wytwórni, trudno nazwać muzyką – oburza się Lil.

Serena gniewnym ruchem przerzuca na plecy kurtynę subtelnie pofarbowanych włosów.

– To, że coś jest popularne, to jeszcze nie zbrodnia. Boże broń, żeby piosenka miała rytm i dało się do niej zatańczyć.

– Możemy nie zaczynać? – wtrącam znużona, bo to stała sprzeczka między nimi.

Obie moje siostry poszły w ślady ojca i związały się zawodowo z muzyką, ale udało im się stać dwiema ledwo stykającymi się elipsami na diagramie Venna*: Serena to przerażająco skuteczna producentka wykonawcza w jednej z największych wytwórni płytowych na świecie – zadbana, olśniewająca, ciągle stukająca paznokciami po ekranie iPhone’a – podczas gdy Lil to drobniutka anielica, podbijająca serca festiwalowych publiczności delikatnym, chropowatym głosem, gitarą akustyczną i energią dzieci kwiatów.

– A ty się nie wtrącaj, panno Nie-Słuchałam-Nowej-Muzyki-Od-Dwóch-Dekad – warczy do mnie Serena.

– Pani doktor Nie-Słuchałam-Nowej-Muzyki-Od-Dwóch-Dekad, jeśli łaska – prostuję, nie dając się sprowokować. Nie ma sensu, żebyśmy zagłębiały się w moje nieprzerobione traumy z dzieciństwa, skoro jest wystarczająco dużo innych powodów do zmartwień. – Poza tym wydawało mi się, że przyjechałyście mi pomóc – kończę żalosnym tonem i wspinam się na jeden ze stołków przy małym blacie śniadaniowym.

– Bo tak jest! – wykrzykuje Lil. – Oczywiście, że po to tu przyjechałyśmy. Dlatego mów, co się stało. Myślałam, że mieli przedłużyć ci umowę.

* Diagram Venna – schemat służący ilustrowaniu zależności między zbiorami. Ma postać figur geometrycznych na płaszczyźnie. Zbiory reprezentowane są na ogół przez elipsy.

– Bo tak miało być, tak mi powiedział szef wydziału, ale były cięcia i... – Urywam, ściskając nasadę nosa, żeby powstrzymać łzy. Nie mogę wciąż płakać, bo w końcu po prostu się rozpadnę.

– Skoro powiedzieli ci, że cię zatrzymają, to powinni to zrobić – warczy Serena. – Jesteś świetna, ekspertka w swojej dziedzinie, a twoi studenci cię uwielbiają. To jakaś bzdura.

– Obawiam się, że bycie ekspertką w dziedzinie mało popularnej literatury średniowiecznej nie oznacza, że jestem tak rozchwytywana, jak sobie wyobrazasz – mruczę w kubek.

Od obronienia doktoratu przed pięciu laty przyjmowałam jedno słabo płatne, krótkoterminowe zlecenie za drugim. Miałam zawsze nadzieję, że przekształcą się one w coś bardziej stałego. Myślałam, że tutaj, w Oksfordzie, w końcu mi się to udało, ale wygląda na to, że wszechświat nie przestał mnie jeszcze gnoić. Gdy już sądziłam, że wreszcie będę mogła złapać oddech, że zaczęłam prawdziwe dorosłe życie – w sędziwym wieku trzydziestu dwóch lat – okazuje się, że z końcem letniego semestru zostanę bez pracy. Bez pracy. Bez chłopaka. Wkrótce też bez dachu nad głową. I to by było tyle w kwestii dorosłego życia.

Wypijam swojego szampana do dna i wystawiam kubek po dolewkę, a Lil bez słowa spełnia moje życzenie.

– W takim razie musimy opracować plan – stwierdza stanowczo Serena. – Znaleźć ci nową pracę.

– Posady akademickie nie pojawiają się tak często – odpowiadam. – A jak się już pojawiają, jest miliard chętnych. Uwier mi, wiem, co mówię. I nawet jeśli jakimś cudem coś się trafi na przyszły rok, to i tak nie wcześniej niż od początku semestru jesienno, co oznacza, że przez dobre cztery miesiące będę całkowicie pozbawiona zarobków. – W tym momencie ogarnia mnie przemożne współczucie dla samej siebie.

– To może coś ci na ten czas pożyczyć? – proponuje Serena.

– Zwrócisz, jak coś znajdziesz.

Kręcę głową, jeszcze zanim kończy mówić.

– Nie mogę brać od ciebie pieniędzy.

– Zawsze możesz zwrócić się do ojca – podpowiada Lil i wzdyga się, gdy obrzucam ją morderczym spojrzeniem. – Wiem, że tego nie chcesz, ale jestem przekonana, że...

– Nie chcę jego pieniędzy i już – mówię krótko, starając się nie dać ponieść emocjom.

– Naprawdę niepotrzebnie aż tak się upierasz w tym względzie – mamrocze Serena. – On i tak pozostanie głównianym ojcem, niezależnie od tego, czy weźmiesz od niego kasę, czy nie. Czemu nie pozwolić staremu matołowi sobie pomóc? Poza tym nie jest taki zły jak...

Przerywam jej machnięciem ręki – obie z Lil przyglądają mi się przez chwilę, po czym obie zgodnie wzdykają. Wiedzą, że w tej sprzeczce nie wygrają.

– Co więc zrobisz? – pyta Lil. – Mówiłaś już o tym swojej mamie?

Krzywię się.

– Jeszcze nie, bo będzie chciała, żebym wróciła do domu.

W ciszy pełnej zadumy znowu popijamy szampana – ja prawie nie czuję już bąbelków, ale całe moje ciało przyjemnie mulsuje.

– Wiem, co powinniśmy zrobić – oznajmia w końcu Serena, lekko sepleniąc z powodu nadmiaru alkoholu.

– No co powinniśmy zrobić? – pytam.

Serena się uśmiecha.

– Powinniśmy rzucić zakłęcie rozstania.

Rozdział drugi

– Zakłęcie rozstania? – Marszczę nos. – Jak wtedy, gdy byliśmy małe?

Z ust Sereny zaczyna wydobywać się coś, co podejrzenie przypomina chichot.

– Dziwne Siostry powracają na miotły!

Na dźwięk tych słów wydaję z siebie jęk i opieram głowę na dłoniach. Dziwne Siostry to zabawa, w którą bawiłyśmy się, gdy miałyśmy jakieś dziesięć lat, zainspirowana naszą nieco... nietypową sytuacją rodzinną.

Zacząłem się od komentarza w gazecie, w którym naszą rodzinę nazwano „sabatem”, a moja mama, kiedy to przeczytała, zaśmiała się i powiedziała: „Jeśli spiczaste kapelusze są twarzowe, to czemu nie!”. Petty i Ava również się roześmiały, więc my, trzy dziewczynki, dołączyłyśmy do nich, mimo że później musiałyśmy sprawdzić w słowniku, co to w ogóle znaczy.

W tamtych czasach gazety często o nas pisały. Kiedy ujawniono, że Ripp Harris zapłodnił trzy różne kobiety niemal jednocześnie, media miały używanie. Moja mama, Dee – dwudziestotrzyletnia, dobrze się zapowiadająca gwiazda piosenki – miała wątpliwą przyjemność być wówczas żoną Rippa, dlatego pozostawała pod nieustannym ostrzałem. Co zrobi? – pytali wszyscy

z zapartym tchem. Czy z nim zostanie? Czy będzie walczyła o swojego mężczyznę? Czy robi to dosłownie i najlepiej przed kamerami, jeśli tamte dwie kobiety znajdują się w zasięgu jej ręki?

W rzeczywistości mama nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Spakowała się i wyjechała (przy minimalnych protestach ze strony Rippa), i za pokazną sumę z ugody rozwodowej kupiła farmę w Hertfordshire.

Następnie zaproponowała Petty i Avie, żeby też się tam przeprowadziły i z nią zamieszkały, i wtedy tabloidy kompletnie oszalały.

EKS RIPPA OTWIERA KOMUNĘ DZIECIECĄ, to był ulubiony nagłówek mamy. Tę stronę kazała oprawić w ramki i powiesiła ją w toalecie na parterze. Żadna z nas nie wiedziała do końca, jak taka komuna dziecięca miałyby wyglądać, ale nasze prawdziwe życie nie było nawet w przybliżeniu tak skandaliczne i ekscytujące, jak chcieliby je widzieć paparazzi czatujący pod naszą bramą.

Mama rzuciła śpiewanie i zainteresowanie nią prasy osłabło, choć nigdy całkowicie nie zanikło. Dom był naszym bezpiecznym miejscem. Mama przestała występować i założyła organizację charytatywną dla artystów, którą wciąż prowadzi z domowego biura. Ona i ja mieszkaliśmy w środkowej części tego długiego, niskiego budynku – posklejanego z różnych epok, trochę jak patchwork z cegieł i belek – Petty i Lil w jednej z bocznych dobudówek, a Ava i Serena w drugiej. Każda z nas miała swoją przestrzeń, ale drzwi zwykle pozostawały otwarte, a my często gromadziłyśmy się w ogromnej, centralnie usytuowanej kuchni lub w wysłużonym salonie.

Nie wiem, jakim cudem mamie, Petty i Avie udało się stworzyć tego typu relację, zwłaszcza w takich okolicznościach, nie-
mniej od kiedy tylko pamiętam, zawsze były one trzy – najlepsze

przyjaciółki – a potem my trzy – siostry – wpadające do siebie bez zapowiedzi, biegające po hektarach zaniedbanej farmy, dorastające razem w tym szczęśliwym, pełnym miłości galimatiasie.

Jeśli chodzi o Rippa, to nie odgrywał żadnej znaczącej roli w naszym życiu. Gdy pytano go o tę całą sytuację z trójką dzieci spłodzonych przez niego w ciągu jednego roku, zwykle wzruszał tylko ramionami i z cynicznym uśmieszkiem rzucał: „Hej, stary, to były lata osiemdziesiąte”, jakby to wszystko tłumaczyło, jakby upadek muru berlińskiego i moda na getry sprawiały, że po prostu nie dawał rady nie bzykać wszystkiego, co znajdowało się w zasięgu wzroku, rozsiewając nasienie. („Fuj, nie mów »nasienie«”, rzuciła Lil i wzdrygnęła się z obrzydzeniem, gdy głośno podzieliłam się z nią tym spostrzeżeniem).

Wszystkie urodziłyśmy się w odstępie zaledwie czterech miesięcy w 1990 roku i choć Ripp mógłby to zrzucić na karb nowej dekady, żadne kolejne przyrodnie rodzeństwo już się nie pojawiło. Muszę jednak przyznać, że trudno nie brać do siebie, kiedy twój ojciec udziela wywiadu na pierwszą stronę na temat swojej wazektomii tydzień po twoim narodzeniu (RIPP ROBI CIACH!). Wymarzony materiał dla mojej terapeutki, w który zresztą wgryzła się z całą pasją.

Tak czy inaczej, w powszechnej opinii panowało zgodne przekonanie, że nasz dom był czymś w rodzaju sekty skrzyżowanej z komuną i miejscem praktykowania czarnej magii. Choć rzeczywistość wyglądała oczywiście o wiele bardziej przyziemnie, myśl, że jesteśmy czarownicami, stała się dla mnie i moich siostr czymś w rodzaju obsesji. Jak te trzy siostry – wiédźmy z *Makbeta*.

Gdy się w nie bawiłyśmy, przebierałyśmy się w inspirowane stylówkami Stevie Nicks ciuchy mamy i potykając się o długie, błyszczące od cekinów czarne sukienki, „rzucałyśmy zaklęcia” nad starym żeliwnym rondlem Le Creuset, przeklinając wrogów i ob-

darzając się nawzajem promienną urodą, licznymi adoratorami, a raz – co pamiętam szczególnie – „znacznie większymi cyckami”.

Mama i Petty nie miały nic przeciwko, ale Ava twierdziła, że powinniśmy prosić raczej o zmysł do interesów i wskazówki dotyczące inwestowania na giełdzie, bo całą resztę można sobie kupić – dzięki patriarchatowi. Kolejne słowo, które musiałyśmy sprawdzić w słowniku, a od tego momentu nasze zaklęcia stały się o wiele bardziej... gniewne.

Później, gdy byłyśmy nastolatkami, od czasu do czasu wskrzeszałyśmy tę tradycję, głównie w chwilach zawodów miłosnych.

– Nie jesteśmy już dziećmi – zauważam teraz, ale Serena grzebie już w przepastnej torbie i wyciąga z niej małe drewniane pudełko.

– Pomyślałam, że to się nam dzisiaj przyda – twierdzi z przekonaniem, a mnie opada szczeka.

– O mój Boże! – wykrzykuje Lil. – Czy to...?

– Pudełko rozstań? – kończę zduszonym głosem.

Serena kiwa głową.

– Wiecie, że Petty remontowała dom babci Mac, no i w trakcie tego remontu znalazła je zakopane w ogrodzie.

Oczy Lil robią się wielkie jak spodki.

– A to ci dopiero upiorny zbieg okoliczności. To zupełnie jak... przeznaczenie.

Biorę pudełko od Sereny i kiedy podnoszę jego wieczko, czuję w piersi ukłucie bólu. W środku jest kilka kopert – jedna na każde rozstanie z naszymi nastoletnimi miłościami. Na wierzchu leży czarna z narysowaną na niej srebrną gwiazdą, a ja dokładnie wiem, co jest w środku – ostatnie zaklęcie rzucone przez Dziwne Siostry. Zaklęcie na rozstanie.

To było tuż przed moimi osiemnastymi urodzinami i okresem w moim życiu, nad którym nie lubię się rozwodzić. Właśnie

przeżyłam rozstanie (w porównaniu z nim to obecne wydaje się spacerkiem po parku). Serena z Lil namówiły mnie na zakrapiany alkoholem wieczór czarów. Byłyśmy wtedy w Northumberland, w domu babki Petty, i po rzuceniu zaklęcia zakopałyśmy pudełko w ogrodzie. Nie sądziłam, że je jeszcze kiedykolwiek zobaczę.

Teraz Serena wyjmuję z niego czarną kopertę i bez większych ceregieli ją rozdziera.

– *Trzy życzenia i klątwa* – czyta, po czym szczerząc się szeroko, podnosi wzrok na mnie i na Lil. – Pora je wskrzesić, nie uważacie?

– Taaak! – piszczy Lil i spada z kuchennego blatu.

Serena zaczyna otwierać szafki, szuka w nich odpowiedniego garnka i choć nie mam tu starego rondla Le Creuset – gdybyśmy taki z Lenem mieli, jestem pewna, że stałby teraz bezpiecznie schowany gdzieś w jego nowym domu – znajduje wgniecioną patelnię, która najwyraźniej jej zdaniem nada się na zaklęcie.

– Przyniosę zioła! – woła Lil i chwając się lekko na nogach, rusza w stronę drzwi.

– Serena, to przecież niedorzeczne – mówię. – Po prostu nie wierzę, że nas do tego zachęcasz.

– A dlaczego miałabym nie zachęcać? – odpowiada moja siostra i wzrusza ramionami. – Czemuś to zaszkodzi? Twój pech i tak nie może być już większy.

Znowu jęczę.

– Masz świece? – pyta Serena i rozgląda się dookoła.

– A wyglądam, jakbym miała? – pryham, gestem dłoni wskazując na pustynny krajobraz mojego mieszkania.

Młaskając z dezaprobatą, Serena zaczyna otwierać i zamykać szuflady, aż w końcu wydaje zwycięski okrzyk i z jednej z nich wyciąga kilka stopionych do połowy świeczek urodzinowych.

W tym momencie do mieszkania wraca Lil z naręczem

zieleniny.

– Nie byłam pewna, czy coś z tego to zioła – mówi i rzuca stertę przyniesionych chwastów na blat.

– To tutaj to chyba szalwia – zgaduje Serena, szturchając palcem jeden z liści.

– Nie, to mlecz – poprawiam.

– Bez znaczenia. – Serena macha nonszalancko ręką. – Lil, wrzuć to wszystko na patelnię.

Zapala świeczki i wtyka je w resztki pizzy, co nadaje jej lekko świąteczny wygląd, a Lil rzuca całą zieleninę na patelnię.

– To na serio jest okropnie głupie – próbuję ponownie.

– Powiedz to rozmiarowi swojego stanika – parska Serena.

– Rozmiar swojego stanika zawdzięczam dojrzewaniu, a nie jakiejś tam magii – zauważam z przekąsem.

– Ale my przecież naprawdę mamy świetne osiągnięcia – rzuca podchmielona Lil i chichocze. – Pamiętacie, jak Cam i Serena zerwały ze sobą, a my rzuciłyśmy nasze zakłęcie?

– Jasne, że pamiętamy – przytakuje Serena. – Jej mama znalazła potem pod jej łóżkiem tajny zapas marlboro lightów i za karę uziemiła ją na całe lato, przez co Cam przegapiła koncert Shanii Twain w Hyde Parku. I kto się wtedy śmiał ostatni, no kto?

Mrugam gwałtownie. Może to ta niepodważalna logika, może niezachwiane wsparcie moich sióstr, może fala nostalgii, a może wypita butelka szampana (kto to wie?) – ale powoli zaczynam przekonywać się do tego dziwnego pomysłu z magią.

– A niech tam – mówię w końcu. – Zróbmy to.

– Taaak! – Lil wyrzuca pięści w górę, po czym zahacza stopą o rąbek swojej koszuli nocnej i lekko się chwieje.

– Co zawsze robiłyśmy najpierw? – Marszcząc brwi, próbuję sobie przypomnieć.

– Potrzebujemy kręgu z soli – oznajmia Serena i już rozsypuje

płatki soli Maldon na podłodze w kuchni. Zapas kończy się w połowie kręgu, ale Serena, niezrażona, chwytą za młynek do pieprzu i zaczyna nim kręcić. Wkrótce wszystkie trzy kichamy jak opętane.

– Może cukier byłby lepszy niż pieprz? – zastanawia się Lil, ocierając załzawione oczy. – Bo cukier i sól chyba jednak lepiej symbolizują życie... no wiecie, jego słodycz i... słoność?

Jestem już w to całkowicie wkręcona, a szampan tak mocno buzuje mi w żyłach, że argument Lil wydaje mi się zaskakująco sensowny. Chwytam więc torebkę cukru pudru i kończę krąg.

– I co teraz? – pytam.

Lil bierze patelnię z ziołami i kładzie ją na podłodze pośrodku krzywego koła.

– Potrzebujemy muzyki. – Serena sięga po telefon i marszcząc brwi, patrzy na ekran. – Trzeba go naładować – mamrocze i po krótkim przekopaniu się przez czeluści swojej olbrzymiej torebki wyciąga ładowarkę i wpina ją do kontaktu. Po chwili stukania w ekran z małego głośnika zaczyna płynąć znajoma melodia: *Sisters of the Moon* Fleetwood Mac.

– Taaak! – wykrzykuje ponownie Lil, kołyszając się na boki. – Pamiętam! – Zaczyna nucić słowa piosenki, a Serena i ja dołączamy do niej po chwili. Potem ja zamykam oczy, wyobrażając sobie nas w starej kuchni, z muzyką trzeszczącą z gramofonu mamy i unoszącym się w powietrzu zapachem lawendy i mięty wykradzionych z ogródka Avy. Muzyka była dla mnie wtedy czymś normalnym i prostym. Czymś, co wypełniało nasz dom.

Z tych marzeń wyrывa mnie w końcu Serena, która po rozprostowaniu kartki z pudełka zaczyna czytać:

– *Jesteśmy Dziwnymi Siostrami i zbieramy się tu dzisiaj, by prosić Boginię o spełnienie naszych trzech życzeń!*

Przekazuje kartkę Lil, która odczytuje następny wers:

– Prosimy także o przeklęcie naszego wroga. Człowieka, który skrzywdził naszą ukochaną siostrę.

– Leonarda – warczy Serena, wstawiając jego imię zamiast tego zapisanego na kartce. Tego, o którym zdecydowanie nie chcę myśleć.

– Tak, tak... – potakuję. Wyciągam korek z butelki z czerwonym winem i przelewam je niedbale do kubka. – Len, przeklinamy cię!

Lil oddaje kartkę Serenie.

– Leonardzie, przeklinamy cię! – woła Serena. – *Obyś nigdy więcej nie zaspokoił innej kobiety seksualnie i, dodatkowo, obyś zła-pał jakąś wyjątkowo swędzącą wysypkę tam na dole!*

– Przecież tam nie jest tak napisane! – syczę przerażona.

Serena wyciąga kartkę w moją stronę, pokazując mi widniejące na niej słowa, zanotowane jej ręką.

– Boże, ale my byliśmy bezlitosne. – Lil wzdycha z radosnym uśmiechem.

– Biedna Jenny – mamroczę pod nosem, a potem Serena podaje kartkę mnie i teraz to ja odczytuję kolejny wers, napisany już moim charakterem pisma. – *Obyś zrozumiał swoje błędy i do końca życia miał wyrzuty sumienia z powodu tego, jak mnie potraktowałeś.* – Czuję ukłucie bólu w żołądku, gdy myślę o dziewczynie, którą byłam, kiedy to napisałam. – Hm, może to trochę zbyt serio.

– No coś ty – obrusza się Lil. – Przecież to sama prawda! Len powinien czuć się winny do końca życia, tak jak i... – Przechwytuje ostre spojrzenie Sereny i urywa, zanim wymieni imię mojego byłego, o którym nigdy nie wspominamy. – No i ta wysypka – dodaje szybko, speszona. – Wysypka też, koniecznie.

Serena kiwa głową, wyciąga z pizzy jedną ze świeczek i wrzuca ją na wypełnioną liśćmi patelnię. Wtedy wszystkie zaczynamy wiwatować, a Serena znowu chichocze z diabolicznym błyskiem

w oczach.

- A teraz życzenia – przypominam, spoglądając na kartkę.
- Trzy życzenia dla Clemmie – mruczy Lil. – Żeby uleczyć jej złamane serce.

Serena natychmiast chwytą kolejną świeczkę i tak jak poprzednie, wrzuca ją do patelni.

- Ognisty seks!
- O, nawet nie musiałaś zaglądać do zaklęcia – mówi Lil z podziwem.

– Bo dobrze je pamiętam. – Serena się śmieje. – A jej dokładnie tego potrzeba. Nie wiem, czy zaklęcie pomogło, Clem, ale w moim przypadku na pewno się spełniło. I to wiele razy.

– Pamiętam, że kiedy je rzucaliśmy, powiedziałam ci, że chyba powinnaś trochę bardziej je przemyśleć – odpowiadam.

– I to jest właśnie twój problem, Clemmie. – Serena wzdycha z rezygnacją. – Za dużo myślenia, za mało działania, a przez działanie mam na myśli...

– Świetnie wszystkie wiemy, co masz na myśli – przerywam jej i przewracam oczami.

– Nie byłaś z nikim poza Leonardem od lat – brnie dalej Serena, wzdrygając się. – Szczerze mówiąc, nie mogę wyobrazić sobie niczego gorszego.

– Naprawdę byłoby dobrze, gdybyś zaakceptowała swoją seksualność – dodaje Lil bardziej dyplomatycznie.

– Ale ja ją przecież akceptuję – fukam ze złością.

Moje siostry jednak podejrzenie milczą.

- Po prostu zacznij się trochę udzielać – rzuca w końcu Lil.
- Seks bez zobowiązań, Clemmie... jest świetny, a ty nigdy go nie miałaś – mówi Serena.

– Nieprawda, był Tom na studiach – przypominam z oburzeniem. – To było jak najbardziej bez zobowiązań.

– Byliście ze sobą pół roku. To było „bez zobowiązań” tylko w tym sensie, że jak się potem wydało, sypiał z połową kółka teatralnego. – Głos Sereny ocieka sarkazmem.

To nie do końca prawda. Dla mnie związek z Tomem był luźnym związkiem, bo wciąż jeszcze nie doszłam wtedy do siebie po wspomnianym wcześniej bolesnym rozstaniu i z tego powodu nie byłam w pełni zaangażowana.

– Ja tylko mówię, że jednorazowy numerek dobrze by ci zrobił – kontynuuje moja siostra.

– Na numerek mogę się nawet zgodzić – odpowiadam. – Ale na pewno nie będę korzystać z żadnych apek. – Ostatnim razem, gdy byłam singielką, Serena zapisała mnie do wszystkich i stworzyła mi profil, opisując mnie w nim jako „krągłego rudzielca z głową do biznesu i ciałem do grzechu”, błędnie zakładając, że przyciągnie to facetów, którzy potrafią cytować *Pracującą dziewczynę* (dobrze), zamiast bandy napakowanych zboków, którzy myśleli, że z miejsca zauroczą mnie zdjęcia ich penisów (źle). „Dzięki Bogu, że jestem lesbijką”, powiedziała mi wtedy Serena w ramach przeprosin.

Teraz przewraca oczami.

– W takim razie jak inaczej chcesz znaleźć sobie kogoś do seksu? Żyjesz jak pustelniczka, stale przesiadujesz w bibliotekach, a jedyni faceci, z którymi masz kontakt, nie żyją od ośmiuset lat.

– Żadnych aplikacji – powtarzam stanowczo.

– No już dobrze, dobrze – przerywa nam Lil uspokajająco. – Zakłęcie sprowadzi Clemmie kogoś do ognistego seksu. Nie potrzebuje do tego aplikacji. A teraz, Clemmie, wypowiedz swoje życzenie.

Patrzę na kartkę.

– *Życzę sobie pracy, którą kocham* – czytam. – O rany. Dzięki ci za to, Clemmie z przeszłości. Wygląda na to, że nie posunęłam

się ani o krok od siedemnastego roku życia.

– Kiepski moment na taką refleksję. – Serena się krzywi.

– Tak, tak, właśnie – wtóruje jej Lil. – Ale to życzenie pomoże ci wrócić na właściwe tory, a o to przecież w tym wszystkim chodzi, czyż nie?

Czując ukłucie bólu na myśl, że zostały mi tylko dwa miesiące w pracy, którą naprawdę kocham, chwytam świeczkę i wrzucam ją na patelnię.

Wtedy Lil odwraca się, wyciąga z pizzy ostatnią świeczkę i z łagodnym uśmiechem odczytuje słowa skreślone jej własnym kształtnym charakterem pisma:

– *Życzę sobie wielkiej miłości... bezwarunkowej, szczerzej, z pokrewną duszą.* Ooo, czyli dokładnie tego, na co Clemmie zasługuje.

– Buuuuu! – szydzi Serena. – Już zapomniałam, jakie beznaziejnie było to twoje życzenie.

Ignorując ją, Lil wrzuca świeczkę na patelnię.

– Ostatnią linijkę wypowiadamy razem. – Pokazuje nam słowa.

– *W ciemność niesiemy światło, z popiołów powstańmy* – intonujemy we trzy. Wow, naprawdę byłyśmy wtedy dramatyczne.

Potem Lil spogląda na nas obie i kiedy kiwamy głowami, wrzuca na patelnię także zakłęcie. Kartka natychmiast zajmuje się ogniem, zaczyna tlić się na krawędziach, a potem rozlega się nagły syk i pojawia się chmura dymu, gdy niektóre z suchych liści również się zapalają.

– Czekaj, Lil... czy tam są patyki? – pytam z niepokojem.

– Bardzo możliwe? – przytakuje Lil pytającym tonem.

Małe płomienie zaczynają tańczyć na patelni, pożerając kartkę, wspinają się wyżej, aż w końcu opanowują całą patelnię, a nasza trójka przygląda się temu w oślepiałym milczeniu. W po-

wietrze wznosi się kłęb gęstego dymu, po czym nad naszymi głowami zaczyna wyć czujnik dymu, a kilka sekund później gasną wszystkie światła.

– CO SIĘ DZIEJE?! – krzyczy Serena z rękami na uszach.

– Podłączyłaś komórkę do uszkodzonego gniazdka! – odkrzykuję i potykam się o przedmioty w ciemności. – Bezpiecznik się przepalił. W szafce pod zlewem jest latarka.

Lil wspina się na palce i wymachuje ścierką do naczyń w bezskutecznej walce z czujnikiem. Serena chwyta butelkę wina i zalewa nim ogień, co wprawdzie gasi płomienie, ale w niewielkim stopniu niweluje dym.

– Moje wino! – wołam z żalem.

– GDZIE, DO KURWY NĘDZY, JEST TA PIEPRZONA LATARKA?! – warczy Serena gdzieś w mroku.

Słychać jeszcze więcej stukotów, kilka głośnych huknięć i Lil udaje się otworzyć tylne drzwi. Serena znajduje latarkę i jasnym snopem światła omiata kuchnię.

Czujnik dymu nagle milknie, ale jego wycie zostaje zastąpione innym przenikliwym dźwiękiem. A my stoimy we trzy nad zgłiszczami patelni i mrugamy w zdezorientowaniu.

– To mój telefon – wydusza w końcu Serena, chwytając komórkę i zerkając na ekran. – Cześć, mamó – rzuca po odebraniu. – Właściwie to nie jest najlepszy moment... – Tu robi pauzę i słucha, a jej oczy coraz bardziej się rozszerzają. – Chwileczkę, zwolnij – przerywa. – Mówisz, że kto umarł...?

– O mój Boże, Clemmie – szepcze Lil, wciąż ściskając w rękach ścierkę do naczyń. – My chyba naprawdę jesteśmy potężnymi czarownicami.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).